

# Kosi ta śmierć

AUTOR: DOMINIK GAC

**Śmierć na gruszy łódzkiej Chorei wróciła.** I choć od premiery minął ledwie rok z niewielkim okładem, to spektakl brzmi dziś inaczej, bo i świat jest inny.

■ Skandal! Zamieszki. Wycie prawicy, oklaski lewicy. Obrażeni patrioci, wściekła cenzura. Zgniłe jaja i Archanioł-Krakus o gęsiach skrzydłach. To wszystko z okazji prapremiery *Śmierci na gruszy* w krakowskim Teatrze Słowackiego. Dyrektor broni przedstawienia. Autor wyznaje w prasie: „Chodziło mi o zdopingowanie widza, o zbudzenie go z odrętwienia i śpiączki”. Tymczasem reżyserka... o reżyserce wiele się nie mówi, bo nie była nią Maja Kleczewska, lecz Stanisława Wysocka, a wszystko działo się blisko sto lat temu, w 1925 roku.

*Śmierć na gruszy* to antywojenna groteska Witolda Wandurskiego, lewicowego i awangardowego artysty międzywojnia, silnie związanego z Łodzią i teatrem robotniczym. I to właśnie w tym mieście wystawiono *Śmierć*... ponownie. W Teatrze Chorea, jako żywo nie robotniczym, choć mieszczącym się w dawnej fabryce. Premiera miała miejsce w sierpniu 2021 roku, po czym spektakl spadł z afisza. Nie przez cenzurę jednak, a problemy ekonomiczne – zmoreę wszystkich scen niezależnych, zmuszonych w obecnym systemie grantów do produkowania kolejnych premier, których potem nie są w stanie eksploatować. Na szczęście *Śmierć*... wróciła. I choć minął ledwie rok z niewielkim okładem, to brzmi dziś inaczej, bo i świat jest inny.

Zanim obejrzałem spektakl, wysłuchałem debaty zorganizowanej przez teatr i poświęconej awangardzie – tej historycznej i współczesnej. Lwowska profesor Maja Harbuziuk mówiła o zmianie w ukraińskim teatrze. Wojną tamtejsi artyści zajmują się od 2014 roku, ale po inwazji 24 lutego zmienili perspektywę. Musieli – podkreśliła – oduczyć się traktować wroga jak człowieka. Wprowadzili do swoich prac nienawiść. Wniosek (mój, nie pani profesor): ukraiński teatr nie opowiada o wojnie, ponieważ bierze w niej aktywny udział. Ze

zgrozą myślę, że i Polska do takiego udziału może zostać zmuszona. Jednocześnie do Łodzi jechałem z uśmiechem, przeczytawszy poranne wiadomości o ataku na most Kerczeński. Przedstawienie w reżyserii Łukasza Kosa pozostaje wierne głównej idei utworu i jest w oczywisty sposób antywojenne. A cały ten długi wstęp jest po to, abym mógł napisać, że nie wiem, czy to dobrze.

\*

Scena jest pusta i biała. Z dwóch stron wznoszą się (także białe) ściany-ekrany. Na środku drewniany pieńek, nad nim kilka gruszek. Z prawej strony, poza bielą, siedzą muzycy. Wyrazny perkusyjny bit strukturyzuje trening, który prowadzą aktorzy w dressach. Bajkowy świat inspirowany wielkopolską klechdą jeszcze się nie wyłonił. Artyści powołają go kilkoma rekwizytami, kamerą i sowizdrzańską z ducha charakterystyką. Aktorstwo również ku tej konwencji ciąży. Z dwoma wyjątkami. *Śmierci*, granej przez Elinę Tonewę, oraz Pana Jezusa. Tomasz Rodowicz w cierniowej koronie i białej przepasce, gdy tak siedzi na pieńku, zdaje się prawdziwym przydrożnym Chrystusem Frasobliwym. Szybko okazuje się jednak, że jest to raczej Chrystus f a r s o b l i w y. Wiernych traktuje pobłażliwie, przypisano mu bowiem kwestie, które u Wandurskiego wypowiada Święty Piotr. Chrystus w dramacie nie występuje. W Chorei zaś z papierosem w ustach dziwuje nad gazetą. Narzekającą na ludzkość *Śmierć* odgania i wyrzeka na „babskie gadanie”. Na Ziemię jednak schodzi i naocznie stwierdza, że istotnie – źle się dzieje. Wizyta w polskiej wsi, w której biedota, dorobkiewiczze, przemoc, rozpusta i rewolucyjny ferment, kończy się cudownym prezentem dla biednego, acz sprawiedliwego Wyrobnika (Wiktor Mora-

czewski). Chłop, podpisując sobie, dar ów marnuje. Dzięki temu trzydzieści lat później uwięzi Kostuchę i rozpocznie nieznany w dziejach okres bezśmierci. Dlaczego woli spędzić wieczne życie w biednej chałupie, nad żoninymi kluskami, a nie w raju, do którego zaprasza go sam Pan Jezus? Chłop ma swój chłopski rozum. Ostrożność popłaca, zwłaszcza wobec odroczonej nagrody i zbawczych deklaracji. Życie jest bowiem tu i teraz, a co jest tam i później – tego nie wie nikt.

Na planecie zrobiło się ciasno, obmierzły ludziom żywoty, marzą się suchoty... Skoro z głodu nie umrą, to i rolnictwo traci sens. Świat zamienił się w ugor. A przecież pamiętają jeszcze, jak to się robi. Wokół spółkującej pod drzewem pary (Sara Kozłowska, Michał Józwik) zbiera się wiejska ciżba i z lunatycznym znużeniem dostraja do frykcji, która niczego już nie leczy i niczego nie powoduje. Pomysł na rekultywację świata ma za to Intelligent (Paweł Głowaty). Idea jest prosta i mądra, a na dodatek tradycyjna. Wojna. Z kim? Z sąsiadami. Trzeba mu zresztą oddać, że *casus belli* znalazł niezły: „Ponieważ nikt z was nie umiera i kopiąc w niebo, tylko innym żyć przeszkadza...”. Chorea idzie więc w groteskowy bój. Leje się sztuczna krew, latają odrąbane kończyny. Wrzaski, krzyki, gwałty, piski, egzekucje, strzały w twarz, w potylicę, w co kto chce – napędzane kolejnymi taktami hałaśliwej muzyki. Bez końca, bo nikt nie umiera. Coś jakby beckettowskie zombie. Jest to oczywiście męczące i trudne do zniesienia, bo uszczuplone o zniuansowany humor Wandurskiego. Brakuje choćby rezolutnych, acz bezgłowych Żołnierzy w stopniu Monty Pythona. Koncept jest jednak zrozumiały. Artyści są wobec widzów uczciwi i choć chwilę wcześniej zapraszali na roztańczony antrakt, podczas którego można było kupić na scenie

alkohol, poczęstować się przystawkami i zrobić selfie z Kostuchą, to nie mam poczucia, że w tę jatkę jak w pułapkę mnie zwabiono. Co innego mnie dręczy.

Absurd tego groteskowego okrucieństwa, absurd wojny jako takiej zdaje się z poprzedniego, przedwojennego świata. Teraz bowiem żyjemy w świecie wojennym (nawet jeśli nie bezpośrednio). Na co nam tu ten kotłujący się w czerwonej brei pacyfizm? Wiemy, że wojna jest zła, że prostego człowieka te tłuste szuje i tak dalej, tak jak pan Tuwim powiedział. Słyszeliśmy też o epigenetyce i wiemy, że odciskające się właśnie traumy nosić będą kolejne pokolenia. Nie ma zgody na ten wołający o pomstę do nieba skandal. Niet wojnie! No i co z tego, że niet, co nam po tej wiedzy i świadomości, że sztuka powinna być pacyfistyczna, partycypacyjna i tolerancyjna. Że teatr to najlepsze miejsce do ćwiczeń wyobraźni, a to właśnie musimy dziś robić – jak podpowiadają lewicowi myśliciele i artyści – musimy wyobrażać, musimy performować nowe, lepsze światy, bo ten i tak upadnie. Ukraińcy myśleli tak samo, a teraz w swojej sztuce spotykają nienawiść do innego człowieka, do wroga. Bo jeśli ten świat rzeczywiście upada, to na ich głowy. I choćby mi się to nie podobało, choćbym nie miał ochoty chodzić na spektakle, które są krzykiem, i choćbym uważał tę tendencję za niebezpieczną, to jakie to ma znaczenie?

Sztuka Kosa jest – jako się rzekło – przedwojenna. Tymczasem zarówno Wandurski

w latach dwudziestych, jak i jego największy orędownik po 1945 roku, czyli Józef Szajna, byli w trakcie pracy nad *Śmiercią*... artystami powojennymi. U Szajny (w inscenizacji w warszawskim Teatrze Studio z 1978 roku) *Śmierć* nie jest wyabstrahowaną i zdystansowaną wobec ludzi siłą, która siedzi na drzewie i cierpliwie czeka, aż ktoś ją uwolni. Kos proponuje chwyt jak z komiksu *Sandman*, w którym Morfeusz, król snów, zostaje uwięziony – i milczy. A gdy już Kostucha zdobędzie się na kilka słów do Inteligenta, to szybko traci nim zainteresowanie, bezradna wobec głupoty człowieka, który nie rozumie, że wojna bez śmierci prowadzi donikąd. Tymczasem *Śmierć* u Szajny (Irena Jun) schodzi z nastroszonego kosami drzewa i mówi kilka dopisanych Wandurskiemu zdań: „Nie będę pracować na generalskie szlify, na generalskie sztaby, na General Motors. Jestem nieodwołalna, ale nie chcę być zbiorowa. Zagoniona, zapędzona do roboty bombami, kartaczami, atomowymi grzybami”. To jest zupełnie inny charakter sprzeciwu wobec wojny niż ten, który proponuje Chorei. W Łodzi Chrystus, który nieopatrznie zszedł w tę jatkę, na nikim nie robi wrażenia, ot, kolejna ofiara. Przysiada wreszcie z boku trochę już tym wszystkim zmęczony, ale niczemu się nie dziwi (i słusznie, co to byłby za bóg – zdziwiony). Prosi w końcu *Śmierć*, aby – zanim ją uwolni – zagrała melodię na harmonijce. Dookoła gruszy ścielą się ciała. Kinooperator (Kamil Wallace) zbliża

kamerę do wykrzywionych w męce twarzy. A *Śmierć* gra, koł, śpiewa. Aktorzy podchwytyj kameruńską pieśń *Mbele Mama*. Radosne, pełne ulgi wołanie do Matki, która daje życie, czyli śmierć. „Z miłości do ludzkości / w koło życia ucina” – jak pisał poeta. Zdaje się, że właśnie tego szukali przedwojenni, ale popandemiczni inscenizatorzy antywojennej sztuki – przypomnienia o tym, co w naszej kulturze wyparte, o konieczności umierania. I o korzyściach, które płyną z przyjęcia tego musu do wiadomości.

Nieźle się ta stylizowana klechda do takich morałów nadaje. Wystarczy ją umiejętnie przyciąć, nienachalnie uaktualnić, do czego publicystyczne chwytły Wandurskiego zachęcają. Zabawne i wymowne są sceny na ekranach, w których *Śmierć* w czarnym kapturze, z kosą na ramieniu, przechadza się Piotrkowską lub siedzi w gabinecie szefa Chorei i popija kawę. Kłopot w tym, że dziś śmierć nie ma na kawę czasu, innymi chodzi ulicami, na inne wstępuje mosty, i nie kaptur, a kapelusz nosi, osobliwie grzybowy. Nie ma czasu grać w tej antywojennej sztuce. Jak się już z tej wojny obrobi, to może wtedy, ale teraz nie – teraz żnie. ■

Teatr Chorea w Łodzi  
*Śmierć na gruszy* na podstawie dramatu  
 Witolda Wandurskiego  
 reżyseria Łukasz Kos  
 premiera 20 sierpnia 2021

Śmierć na gruszy, reż. Łukasz Kos, Teatr Chorea w Łodzi [2021]

